

RAJ I PIEKŁO

Fantasmagoria historyczna 1529–1749

I. DWA DOMY

W roku 1629 w Wilnie, na ulicy Niemieckiej, idąc od ratusza ku Wileńskiej Bramie, z prawej strony, stały obok siebie dwie kamienice wielkie, piękne dwie kamienice z pozoru. Jedna wyższa i świeższa z wierzchu bliżej Ratusza, druga za nią czarniejsza i brudniejsza, ale równej prawie z pierwszą wielkości.

Pierwszą z nich lud prosty nazywał Rajem, drugą obok Piekłem¹. Te nazwiska nie były nadane bez przyczyny, bo



Wilno, Zaulek Poetów. Fot. J. Bulhak

zaraz w bramę tylko wszedłszy, znać było różnicę Piekła od Raju.

Wszedłszy do Raju widać było dziedziniec piaskiem wysypany, wschody na dwie strony czyste, okna szyb całe i wymyte, drzwi nie pogruhotane, bruk wymieciony. Cicho było. Czasem który z mieszkańców przechodził spokojnie, modląc się, lub kobieta śpiesząc do roboty. Pięknych kilkoro dzieci bawiło się w pogodną porę piaskiem na dziedzińcu, w klatkach zawieszonych u galerii swiergotały ptaszki, dalej za domem był sadek z zieloną murawą, z drzewami i altaną. Panem Raju był Karaim.

W Piekłe inaczej było. Wchodząc dawał się spostrześć dziedziniec szeroki, brudny, śmieciasty; rynny sączące wiecznie pomyje; rynsztoki zapchane wyrzucanymi obrzynkami jarzyn i kości. Kilkoro psów wyło, siedząc nad

rynsztokiem, drugie tyle skomlało u drzwi mieszkań. Gwar, krzyk, stukanie drzwiami dzień i noc nie ustawały. Miauczały koty, warczały psy, krzyczały koguty, ryczały dwie krowy chude w obdarłej z dachu przybudówce, ale więcej nad to krzyczeli i wrzeszczeli mieszkańcy.

Najgłośniejszym nad wszystkie głosy był głos właścicielki, pani Doroty Janówny, córki kupca, żony próżniaka, która cały dom i męża, i dzieci, i psy, i koty, i wszystko, co tylko w obręb jej państwa wchodziło, za nos wodziła niemilosierne. Od rana, jak się obudziła, widać ją było w jednym trzewiku przydeptanym, drugą nogą boso, w roztwartej jupce, z roztrząśnionymi włosami, biegającą po galeriach, klóćcą się z mieszkańcami, bijącą zwierzęta i dzieci, swoje i cudze.

Tak upływał czas do południa, a kiedy wszyscy do stołu lub garnka zasiedli, na kilka chwil milczenie panowało. Potem znowu i pani Dorota, i jej mąż, i dzieci pół tuzina, i szewc z dołu, i woźny trybunalski, i psy, i koty, i krowy, i koguty krzyczeć, wrzeszczeć, ryczeć, wyć, piszczeć, warczeć, jęczeć zaczynały do wieczora.

Wieczorem znowu na chwilę uspokajało się, zapalano światła, mało kto przebiegał po domu i dziedzińcu, prócz latających nietoperzów, szczurów snujących się i kotów, i przemykających się kun.

W mieszkaniu pani Doroty słyhać było krzątanie się i hałas głuchy — były to przygotowania do uczyty i zabaw, które u niej w świątki i piątki, w posty i popielce bez różnicy, niemal co dzień się odbywały. Zaczynały się ze zmrokiem schodzić postrojone, czerwone mieszczki, mieszczanie wąsacze, panowie rajcy, panowie burmistrze i ławnicy, z trzech juryzdyk, wójtowie i kunsztów szlachetniejszych cechmistrze, panny wileńskie z fosforycznymi oczyma i młodzież gwiżdżąca — tłumno, gwarno, szumnie i wesoło. Jak się tylko wszyscy zeszedli, zaczynała się żydowska muzyka, tańce, skoki, hałas, wrzaski.

Znów obudzone psy i koty krzyczały, pijani klóćli się, taczali po wschodach, leżeli w rynsztokach, czepiali się ścian i drzwi, krzyczeli, bili się. Było to Piekło.

W tym czasie w Raju, mieszkańcy modlili się i pracowali przed ogniem — kobiety przędły, mężczyźni rozmawiali, jedząc lub kończyli dzień modlitwą, dzieci koło matek stały, rozmawiając z sobą po cichu, lub biegły chować się, szukać i znajdować po kątach.

Właściciel domu, Beniamin z długą, siwą brodą, zwykle przy wrzasku dolatującym z Piekła, kończył skromną wieczerzę, opowiadając synowi i młodej synowej swojej Racheli, własnego życia jednostajne dzieje, tym powagi

¹Historyczne (przyp. aut.)

pełnym biblijnym stylem Wschodu, który pierwsze wieki świata i prostotę ich wspaniałą przypomina.

Kiedy wybiła siódma na półzegarzu godzina i na ratuszu gaszenie ognia przedzwoniono, sługi zalewały w kominach żar, światła gasły, dzieci kończyły pobożne modlitwy za rodziców, rodzice za dzieci, żona za męża, mąż za żonę — i po pracy spokojnie zasypiali.

Taka była różnica Raju i Piekła, ale nie ta jeszcze przyczyna ich nazwania.

II. ŚLEPY I JEGO CÓRKA

Dawniej, sto lat przed 1629 rokiem, dwóch ludzi mieszkało w tych dwóch domach, a te domy były drewniane, małe i stykały się oba tak, jak się potem dwie mury kamienice zetknęły. W Raju mieszkał starzec osiemdziesięcioletni, w Piekle chłopiec, który miał lat dwadzieścia kilka.

Starzec był ślepy, stary, chory i z łóżka już nie wychodził, miał córkę jedną, która go doglądała w jego boleściach, pocieszała go, czytała mu księgi, przez które Bóg obiecał ludziom niebo — miała serce dobre, dusze ognistą, łzę w oku na każdy jęk starca, pomoc na każdą jego boleść, pociechę na żal każdy.

Ostatek dni ojca zgryzionego pamiątkami, które mu życie truły, i niemocą odbierającą mu wszystkie życia przyjemności, jeszcze się czasem złociły pociechą dobrej córki. W rannej godzinie, kiedy go ból obudził, pierwszy dźwięk spotykający jego ucho był głos Maryi i cały dzień ten tylko jeden aż do późnej snu godziny, dźwięczał w jego uszach jak głos anioła w grobie.

Obok mieszkał młody właściciel domu, nieżonaty, a imię jego było Bruno. Sierota od dzieciństwa, sam siebie prowadził po drodze życia i to tylko widział dobrym, co mu na chwilę zmysły dobrym pokazywały. Wesoły jak ptak w powietrzu, niedbały o jutro, niepamiętny na wczoraj, z cudzego i swego nie korzystając doświadczenia, za hasło życia wziął był sobie; „Co chcę, być musi!”. Przy nim, koło niego było zawsze wiele młodzieży. Kości, wino i do dziewcząt umizgi od rana do nocy były ich zabawą i jedynym zatrudnieniem. Nie raz szcęk rozbitego przez pijaków pucharu, szumny odgłos chóralnej pijaków pieśni przez słabą ścianę dolatywał do łóża konającego tak długo starca. Był to jakby głos świata, śmiejący się szydersko z jego boleści. Nieraz córka widząc cierpienie, jakie mu ten odgłos sprawiał, płakała lub starała się zagłuszyć go, ale jej srebrny głosik niknął przy tamtych — i starca jęki mieszały się z pieśniami. Bolesna była to sprzeczność wesela i otwartego grobu, jęków i pieśni.

Bruno widział Marię nieraz i jej oczy zapłakane, i jej pierś wzdętą, i różowe niby śmiejące się, bo do uśmiechu stworzone usta. Nieraz całego piekła wzywał na pomoc, aby ją dostać — potem, przy innych zabawach, kobietach, ludziach zapominał o Marii. Maria widywała go także,

ale go nienawidziła. Ten człowiek wiecznie wesoły, z uśmiechem niezmaszanym na ustach, wydawał się jej szatanem. Ona przywykła widzieć cnotę cierpiącą i jej młode serce inaczej sobie cnoty nie umiało wystawić, jak we łzach, smutną.

Raz na biesiadzie u Bruna, podochoceni towarzysze śmiać się z niego zaczęli, że słabego, ślepego starca córki, żyjąc od niej o ścianę, uwieść nie umie. I tak dobrze wypiekali mu jego tchórzliwość, tak podwyższali cenę jej wdzięków, że Bruno na koniec zgrzytając zębami ze złości, krwią na twarzy z gniewu oblany, przysiągł im, że ją mieć będzie, ofiarując im zakład.

Był tam na tej biesiadzie, stary jeden szaleniec, którego zwano Czortubaćkiem, ten z uśmiechem przyjął zakład, i swoją z muru kamienicę, obok stojącą, ofiarował przeciw drewnianej. Zakład rozbili z szumnym śmiechem towarzysze, a Bruno ich prosił, żeby miesiąc cały niczyja noga nie postąpiła u niego. Ciekawi przyrzekli i dotrzymali.

W parę dni, zmieniawszy postać, spuściwszy oczy, przechadzać się zaczął Bruno mimo bramy Marii, aby ją zobaczyć; do samego nawet domu zaglądał, pod tym lub owym pozorem, a dziewczyna oswojona powoli, przebiegając, spoglądała na niego przyjaźniej, bo go widziała smutniejszym, a serce jej za powinność, za nałóg litość wzięło.

W tydzień, gdy wieczorem ojciec spał, a Maria w bramie siedziała na progu, wróciwszy z kościoła, Bruno znalazł sposób przemówienia do niej. Zaczął jej opowiadać, jak przeszłego swego życia żałuje; wspomniawszy jej o ojcu, użalał się nad nim, czasem łzy udawał, śmiejąc się w duszy. Maria uwierzyła łzom i mowie — i tak się rozeszli.

Potem spotkali się znowu i coraz szczerzej rozmawiać zaczęli. Niewinna i prosta dziewczyna opowiedziała mu, co tylko ciążyło jej na sercu, on jej żałował, cieszył ją i nieznacznie wtrąconym opowiadaniem, ściśnięciem ręki, rzuceniem oka, starał się w niej ogień, coraz głębiej palący mu duszę, zapalić. A ona miała już rok dwudziesty i czuła potrzebę kochania, połączenia swojego losu i serca z kimś drugim, bo do tego mieszała się myśl, że we dwoje lepiej ojcu dopomogą niż ona jedna.

I tak coraz częściej się widywali, coraz poufalej byli z sobą; a Bruno zaczynał powoli przemawiać o losie przyszłym i kochaniu.

Ona milczała, lecz umyśliła pomówić z ojcem. W wieczór, jednego dnia, siedziała u jego łóża. Chory był spokojniejszy, oddychał tylko ciężko, a wokoło cisza była. Po chwili zapytał chory, co się stało z sąsiadem, że taki pokój od niejakiego czasu panuje w tamtym domu.

Ona opowiadać zaczęła, ojciec milczał, powiedziała wszystko, jak się poprawił, jak się widują, nawet szepnęła coś o przywiązaniu, o losie przyszłym, o jego zamiarach. Potem zarumieniła się, wstała, wróciła, dorzuciła jeszcze słów kilka i czekała niespokojna. A ojciec stary milczał długo i coraz ciężiej oddychał.

— Słuchaj — odezwał się nareszcie — jesteś cnotliwa, Bóg ci twoją cnotę wynagrodzi. Ten człowiek, to szatan, on nie jest dla ciebie, tyś nadto dobra dla niego, on się nigdy nie poprawi, on tylko pod skórą owczą chciał uwięzić ciebie, nie widuj go więcej pod moim błogosławieństwem, Mario! Słuchaj mię, jam stary, mijaj, kiedy przechodzi, uciekaj, kiedy się zbliża. Znałem takich ludzi — zbrodniarz się skruszy, rozpustnik nigdy. Jego skrucha jak błyskawica przychodzi i mija, a za nią piorun idzie! Nie widuj go więcej, Mario, proszę, zaklinam, pod błogosławieństwem moim.

Maria słuchała słabego głosu ojca i drżała. Chciała Bruna tłumaczyć, wymawiać przed nim, ale on dodał jeszcze:

— Bóg ci da inne szczęście, ja, konający, ostatek sił zebrałbym jeszcze, żeby cię oderwać od niego, on piekło nosi z sobą. Chcesz piekła i mego przekleństwa? Mario! Mario! Nie widuj go więcej!

Zamilkła na te słowa, myśląc tylko, że ojciec stary, znępany, zbolący, źle sądzi o ludziach, i nie znając go, tak mówi, a serce jej biło mocno i czuła już, że nie mogła go nie widzieć i widzieć nie mogła także, bo błogosławieństwo umierającego ojca zabraniało jej tego na zawsze. Noc na mękach strasznych przeszła, ranek spłynął ze łzami, w dzień oknem go tylko widziała i biło jej serce i ręce drżały. Bruno przechodził często koło okna, miała jednak tyle siły, że ku niemu nie wyszła. Ojciec coraz był słabszy.

Nazajutrz spał pół dnia stary, ona wybiegła na chwilę, mówiąc sobie sto razy, że go nie spotka, że go spotkać nie może, a chcąc jednak mimo woli spotkać się z nim, zobaczyć go.

Szatan czatował i spotkał ją. Chciała uciekać — uchwycił i zatrzymał; chciała mu wszystko powiedzieć, pożegnać, odpędzić — i słów nie znalazła. Rozmowa była krótka, żywa, ale ona pierwszy raz im pokazała, że należą do siebie.

W nocy nowe męki przyszły, straszniejsze stokroć od pierwszych, na jawie ojca przekleństwo, we śnie piekło i męki, i płacz, i rozpacz szarpały jej duszę. Budziła się i myślała:

— Jestem przeklęta za to, zem go widziała, cóż mam do stracenia? Ojciec mię przeklął, mogę go teraz widzieć, kochać, mieć go, wszak więcej nic być nie może nad to, co jest? Przekleństwo ojca...

Po tych strasznych słowach, którymi się uspokoić starała, zabiła siebie i wydała sama wyrok swojej zguby, Maria nie unikała już od niego, spotykali się znowu coraz częściej, byli razem, a Maria powtarzała w duszy dla uśmierzenia wewnętrznych zgrzyzot:

— Cóż więcej będzie nad to, co jest?

W trzecim tygodniu po zakładzie często biedny starzec, dręczony boleścią, tarzał się po łóżku, próżno wołając córki. Pół dnia nie było jej w domu. W mieszkaniu Bruna, w jego uścisku przepędzała dni i noce.

Zakład był wygrany, ale Bruno nic jeszcze towarzyszom nie mówił.

Stary ojciec poznał swoje nieszczęście, konał coraz prędzej, przyciśniony wiekiem, chorobą i żalem po córce, i przypomnieniem swego przekleństwa, które wisiało nad jej głową.

Rano jeszcze czasem obudzona zgrzyzotami, z objęcia szatana wyrwała się dziewczyna bieć do ojca ze łzami. Służyła mu chwil kilka, płakała i żałowała swego występku. Ale zaledwie głos zwodziciela dał się słyszeć, szelst jego sukni, chód jego, porzucała ojca i leciała ku niemu, do niego, za nim! A wówczas, kiedy z nim była, jęk konającego ojca, który przebijał ścianę i dźwięczał w jej uszach, nie mógł jej oderwać od niego. Słyszała, jak się tam ojciec męczył sam jeden, przewracał po łożu, wołał jej, płacząc, prosił o kroplę wody na ugaszenie pragnienia, zaklinał, jęczał — słyszała i nie szła. Przeklęta od ojca mimo woli, w objęciu zwodziciela, nie miała serca — tylko na jego pieśszczoty, uszu — tylko na jego słowa. Kiedy go nie było, płakała rzewnie i gryzła się swoją zbrodnią; kiedy przychodził, jak niewolnica za panem szła za nim. Głos ojca, jęk, boleści, nic, nic ją nie zwróciło nazad. Oczy jej paliły się, drżały ręce, serce biło, usta gorzały. Przy dźwięku religijnym i grobowym, modłów i westchnień przenikających ojca, ona całowała i ścisłała zwodziciela, i mówiła sobie:

— Czegóż mam się obawiać więcej? Wszystko się już spełniło na mnie, ojciec mnie przeklął!

Kończył się czwarty tydzień po zakładzie. Czortubaćko śmiał się w duchu, a Bruno czekał ostatniego dnia.

Przyszedł ten dzień.

Tego dnia wieczorem biesiada szumna huczała w jednym domu, a przy Brunie, wśród biesiadników, siedziała Maria z uśmiechem na ustach, z kubkiem w ręku, z bezwstydem na czole. Obok przez ścianę konał jej ojciec sam jeden, wołając o kroplę wody przy skonaniu, o córkę; jęczał, wyciągał suche ręce, chwycił powietrze zimne i mroźne nieopalonej izby — nikt nie przychodził.

Nie było iskry ognia w domu na przenikające zimno, kropli wody na pragnienie, jednego słówka pociechy na serce. Zrzucił z siebie nakrycia, tarzał się, jęczał, gryzł ręce sobie i spragniony krew z ran wysysał. Tłukł siwą głową o ścianę, aby ją prędzej rozbić i umrzeć przynajmniej — umrzeć nie mógł. Rozpacz rozdzierała go, nagle powstał z łóżka, na którym od lat dziesięciu leżał, włosy mu się najeżyły, wyteżyły nogi i ręce, jakby były z kamienia; ślepe oczy przewrócił strasznie i szedł omackiem do sąsiedniego domu; szedł bliżej, coraz bliżej, słyszał głos córki, pieśni, hałas — pot lał mu się po ciele, serce biło, wrzało, krew przewracała się po żyłach, głowa pękać się zdawała, a reszta zębów zgrzytała w otwartych ustach. Stanął przede drzwiami, psy Bruna obskoczyły go, padł u progu bezsilny, skoczyły mu na piersi, szarpały twarz,

rwały włosy. On konał, słysząc głos Marii, który szarpał duszę, jak psy wyschłe ciało starca. Otworzyły się drzwi izby na hałas psów, porwał się jeszcze, powstał i wbiegł. Choć ślepy, uczył jednak kolące go w oczy światło, usłyszał także śmiechy, pieśni, brzęki, potem krzyk długi i wszystko ustało, głos Marii nawet. On stał przed biesiadnikami blady jak trup, poszarpany od psów, w rozdartej koszuli, z ślepymi oczyma, z całą powagą skonania i śmierci, z przekleństwem na ustach.

— Przekląłem cię, Mario! — zawołał. — I ciebie przeklinani, człowieku, coś mi ją odebrał! Oddaję cię piekłu z nią razem. I ten dach, pod którym zbrodnia twoja mieszkała z tobą, niech będzie przeklęty! Niech wnuki twoje, niech każdy, co tu wejdzie i żyć będzie, zginie! Niech ten dom będzie piekłem! Za moje piekło, Bóg wam nim odpłaci, przeklinam! — Upadł i skonał.

— Cóż mam do stracenia? — wołała Maria, wieszając się na szyi kochanka.

Już nic, nawet cnoty nie miała do stracenia. Trupa wynieśli, i biesiada szła dalej.

Nazajutrz, kiedy trumnę starca wynosili z domu, Maria siedziała w oknie zawieszona na szyi Bruna, śpiewając.

W rok wypędził ją Bruno z domu i umarła wkrótce od wściekłego psa pokąsana. Bruna konie, gdy szedł pijany, rozbiły na ulicy przed własnym domem.

III. SKUTKI I KONIEC

Odtąd wisiało konającego przekleństwo nad tym domem, a niebo, jakby na sprzeczność stawiało zawsze obok — cnotę, pokój i szczęście. Zabójstwo, klótnie, rozpusta, mieszkały w Piekło. Próżno zmieniali się mieszkańcy i dom stanął nowy, przekleństwo wisiało.

W roku 1629 mieszkała tam, jakeśmy powiedzieli, pani Dorota Janówna, a obok Karaim Beniamin. Tegoż roku córka szewca na dole udusiła dziecię swoje, żona struła męża na pierwszym piętrze, ojciec zepchnął syna z okna na poddaszu. I kiedy który pogrzeb wychodził z jękami i płaczem z Piekła, kiedy stamtąd prowadzili winowajców na ścięcie, umarłych do grobu, do Raju zawsze wówczas widać było idące wesele lub słycać było śpiew matki nad kolebką dziecka, modlitwę starca do Boga, błogosławieństwo dziada nad wnukami.

Lud omijał Piekło, lecz byli zawsze ludzie, co się tam mieszkać nie lękali, a żaden szczęśliwie nie uszedł. Zbrodnia za zbrodnią, za nieszczęściem nieszczęście w ten dom biegło.

W roku 1748 dnia 11 czerwca o godzinie 9 rano pożar, który całe miasto, ratusz, kilkanaście zniszczył kościołów i kilkadziesiąt pałaców, spalił Raj i Piekło — ludzie z nich jednak uciekli. W przeciągu roku potrafiłi go nakryć i mieszkalnym uczynić znowu. Panią podówczas była Joachimowa wdowa². Zły los mieszkańców zdawał się mniej

²Historyczne (przyp. aut.)

prześladować, klótnie tylko i swary bezustannie mieszkały jeszcze w Piekło.

Lecz w następnym roku 1749 dnia 8 czerwca drugi okropny pożar, gdy niszczył miasto, a z Raju wszyscy uciekli i mienie swoje wynieśli, tak że szkody nie mieli, w Piekło śpiący ludzie pogorzeli razem z majątkami, inni na ulicę wyrwawszy się, strzaskanych murów kawałkami pobici, inni uratowawszy się, ze strachu poumierali, kilku



Wilno w obiektywie Jana Bułhaka

przez resztę życia zebrali w kalectwie i wdowa sama, pani domu, w budce pod Dominikanami umarła, prosząc jałmużny.

Równy z tym pożarem znikły ślady przekleństwa starca i nazwisko Raju i Piekła. Odtąd żyją tam jak gdzie indziej spokojnie, i ani Raj lepszy od innych domów sąsiednich, ani Piekło jest gorsze.

Józef Ignacy Kraszewski